

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

11

Powieść.

Deverrier szybko od niego wzrok swój odwrócił i zaczął — według swego zwyczaju — poruszać z szelstem leżącymi na biurku papierami.

— W rzeczy samej — rzekł — zadziwiającem mi się wydaje, że w sprawie, którą się zajmujemy obecnie, wszyscy kłamią! Za każdym razem pierwotne zeznania tracą zupełnie swoje znaczenie i co chwila zwracać się trzeba w odmiennym kierunku badań, sprzecznym z poprzednim punktem widzenia!... Przytem, jaki to dziwny zakład ten dom zdrowia dla obłąkanych... gdzie w nocy, w której popełniono zbrodnię, nikt nie był na swoim miejscu!... Zona dyrektora przechadza się potajemnie w parku!... Dozorca, który powinien być na prowincyi, hula ukryty w pobliżu... Doktora-asystenta niema w biurze, w którym niby to miał siedzieć... Służba kobieca podsłuchuje...

Mikołaj, niewzruszony, nie zdawał się rozumieć aluzji, a nawet godziło się przypuszczać, że nie słyszy słów sędziego.

Wówczas Deverrier zaczął go nagle indagować, żądając kilkakrotnego powtarzania pierwszych zeznań w najdrobniejszych szczegółach, nie w celu aby im zaprzeczyć, lecz jedynie, aby go zmęczyć, zdenerwować i doprowadzić do stanu zgorączkowania, w którym przestępca, pragnący coś ukryć, wyrzuca bezwiednie z ust nieogłędne słowa, które zręczny urzędnik sądowy umie szybko przemienić w szczere wyznanie.

Lecz Sempuis zdawał się jakby wykuty z żelaza.

Z wzorową cierpliwością i obojętnością stoicką odpowiadał i o ile mógł najjaśniej, tłumaczył wszystko grzecznie i zwięźle.

Jednakże wkońcu oburzył się zdziwiony, gdy sędzia rzekł nagle:

— Jaką jest ściśle określona cyfra posiadanego przez pana kapitału?... Proszę mi odpowiedzieć, nic nie ukrywając, bo kłamstwo w tym względzie, mogłoby mieć dla pana poważniejsze znaczenie niż sobie wyobrażasz!

Mikołaj zmarszczył brwi, błysnął gniewnem okiem i zapytał:

— Z jakiego to powodu mają sąd obchodzić moje osobiste, prywatne interesa?

— Powiem to panu może zaraz — odparł Deverrier tonem mrozem przejmującego szyderstwa. — Tymczasem pan odpowiedz pierwszej...

Sempuis zawahał się, zgrzytając przytem jak pies zębami.

Po chwili jednak zdrowy rozsądek wziął górę nad rozdrażnieniem. Pomyślał w duchu: „Gdy człowiek dostanie się w łapy sprawiedliwości, musi być uległym!”

Z nachmurzonym czołem odpowiedział:

— Wszystko, co posiadam, leży złożone w Lugduńskim Banku Kredytowym... Są to akcje imienne, wystawione na moje nazwisko, same tylko francuskie... Wartość ich wynosi około trzydziestu tysięcy franków.

— Nie więcej?

Naczelný dozorca domu zdrowia odparł ostrym tonem:

— Jak na człowieka mojej kondycji to zdaje się dosyć!

— Miałeś pan zamiar porzucić służbę wkrótce?

— W rzeczy samej, taki miałem zamiar.

— I zabrać się do uprawy roli, na posiadłości ziemskiej w Algierze?

Teraz Mikołaj spojrzał na sędziego z nieukrywanym zdziwieniem.

— Z nikim obcym nie mówiłem o tem nigdy! — szepnął po namyśle.

Deverrier ciągnął dalej:

— Jakże to było, że posiadając zaledwie trzydzieści tysięcy franków, traktowałeś o nabycie posiadłości, ocenionej na siedemdziesiąt, czy nawet ośmdziesiąt tysięcy franków?

Mikołaj wybuchnął:

— Kto panu o tem powiedział?

Sędzia z lekceważeniem odwrócił się od badanego.

Sempuis, już zirytowany, mówił dalej:

— O, pana to może nie obchodzić wcale, ale nie mnie!... Widocznie przetrząsano moje papiery... Ach! gdybym wiedział o tem!

— Zrób mi pan przyjemność i nie mów tak

głośno! — rzekł Deverrier tonem rozkazującym. — Nie znajdujemy się w celi zakładu dla obłąkanych, a pan nie masz przed sobą nieszczęśliwego waryata, którego chciałbyś zastraszyć i poskromić!... Czy zaprzeczasz, że miałeś zamiar kupić folwark Meszuara w okolicach Konstantyny?

Mikołaj, który przed chwilą podniósł się był nieco, opuścił się teraz ciężko na krzesło, pochylił głowę i mówił z trudnością, jakby półgębkiem:

— Poinformować się tylko chciałem... Nie miałem nigdy stanowczego zamiaru nabycia tego kawałka ziemi... bo nie miałem potrzebnego na to kapitału...

— Może pan oczekiwałeś na ten kapitał?

Dozorca odparł ponuro:

— Nie czekam na nic... i od nikogo!

— Chciałeś zatem pożyczyć brakującą sumę?

— Nie!... W moim wieku i w moim położeniu byłoby szaleństwem liczyć na pożyczkę trzydziestu do czterdziestu tysięcy franków!

— Ponieważ doktor Manescault cenil pana bardzo, więc może miałeś nadzieję, że on ci pożyczy? Gorzki uśmiech przesunął się po spieczonych wargach byłego żołnierza kolonialnego.

— Pożyczyć pieniędzy od pana dyrektora? Nie, taka myśl nie przeszła mi nigdy przez głowę!

— Dla czegożby nie, zwłaszcza, że tak bardzo ufał panu?

Sempuis wzruszył nieznacznie ramionami.

— To nie był człowiek, któryby dawał pieniądze na niepewne... choćby tylko chodziło o dwadzieścia franków.

Sędzia śledczy od pewnego czasu przygotowywał efekt teatralny.

Żwawym ruchem ręki pochwycił stojącą pod biurkiem walizkę Mikołaja — walizkę, wydaną przez Ludwikę — postawił ją lekko na biurku i z wzrokiem, wlepionym w ex-żołnierza, mówił tonem, pełnym udanej dobroduszej uprzejmości:

— A przytem... nieprawdaż?... wydawało się panu rzeczą niepotrzebną pożyczać jakieś nędzne trzydzieści tysięcy franków, gdy miałeś na widoku sumę znacznie większą... i z której właścicielowi nie będziesz potrzebował zdawać rachunków... bo właściciel nie żyje...

Bez względu na ciszę zaległą w pokoju.

Trzej urzędnicy, nieruchomi, kryjący się w cieniu, śledzili chciwie wyraz twarzy Mikołaja, na którą padało w pełni nieco zamglone światło jednego okna, oczekując na objaw trwogi i wzruszenia, po którym nastąpić miało wyznanie.

Lecz w pierwszej chwili nic nie ujawniło się w rysach jego na wpół martwego, ponurego oblicza, prócz oznak nudy i roztargnienia.

Widocznie słowa sędziego nie obudziły niepokoju w duszy dozorca, a może nawet nie zrozumiał ich znaczenia.

Jednakże, po niejakiś czasie, oczy jego bezmyślnie błądzące wokoło, spoczęły nagle na walizce.

Przykra i trudna praca myślenia, zdawała się odbywać powoli w jego mózgu; coś w rodzaju istnej rewolucji pojęć, zanim zrozumiał, że przedmiot postawiony na biurku jest podobny do czegoś, co on posiadał; zanim zdołał wyobrazić sobie, że ta walizka jest może jego własnością...

Nareszcie, jakiś w niej szczegół, dobrze znany, skoczył mu niespodzianie w oczy i dekonął poznania w sposób piorunujący.

Jego walizka!

Jego walizka tu, u sędziego śledczego!... Więc nie ukryta tam, tam... u oddanego mu starego przyjaciela!

Podniósł się z krzesła, a z piersi jego wyrwał się chrapliwy ryk rozwścieczonej bestyi.

— To moje!... To do mnie należy! — krzyczał zdławionym głosem.

Deverrier i Guillaume z zadowoleniem spojrzeli na siebie.

Oczekiwany efekt powiódł się zupełnie!

Mikołaj rzucił się na biurko z wyciągniętymi rękami.

— Skąd się tu wzięła moja walizka?... Kto ją dał panu?... Kto mi ją skradł? — wołał z nieopisaną wściekłością, a rysy jego twarzy przybrały wyraz pełen grozy.

Guillaume nawet, chociaż nie bardzo wrażliwy, przejętym się uczuł na wskrósł dzikością, malującą się w oczach byłego żołnierza kolonialnego, doprowadzonego do paroksyzmu najgwałtowniejszego gniewu.

— Niepiękne zwierzę! — pomyślał, wsuwając instynktownie rękę do kieszeni, w której spoczywał nie odstępujący go nigdy mały rewolwer.

Lecz sędzia śledczy żwawym gestem powstrzymał Mikołaja.

— Siedź pan na miejscu! — krzyknął tak silnym

i rozkazującym tonem, że dozorca cofnął się machinalnie i pokonany upadł na krzesło.

Poczem Deverrier mówił dalej:

— Nie mam potrzeby pytać pana, czy przyznajesz, że walizka do pana należy, jużes to bowiem przyznał przed chwilą... Nie pozostaje nam zatem nic więcej, jak żebyś wytłómaczył jakim sposobem to, co zawierała, wpadło w pańskie ręce.

Mikołaj wydobył z kieszeni olbrzymią chustkę w kraty i ocierał nią czoło, zroszone potem.

Zaczął mówić głosem zupełnie osłabionym przez nadzwyczajne wzruszenie.

— Błagam pana na wszystko, co masz najświętszego, powiedz mi, w jaki sposób dostałeś walizkę? Czy to moja żona panu ją wydała?... I... czy... wpadło w jej ręce to, co się w niej znajdowało?

Deverrier, uśmiechnął się z miną tryumfatora.

— Zanim, mój dzielny, będziesz mieć prawo zadawać mi pytania, odpowiedz pierwszej na moje!... Jakimi zabronionymi i zbrodnictwami sposobami przyswoiłeś sobie papiery wartościowe, zamknięte w tej walizce?... Słowem, jaki jest twój udział w zbrodni?... Mów, nic nie ukrywając, bo tak będzie dla ciebie najlepiej... Rozumiesz, że wiemy wszystko, co się ciebie dotyczy, a również co odnosi się do twego towarzysza Berthaut, który przyznał się do wszystkiego!

Sempuis wodził błędnym wzrokiem wokoło, spoglądając naprzemian to na walizkę, to na sędziego, to na twarz nieprzychylnie dla niego usposobionych dwu milczących urzędników policyjnych.

— Nie wiem, co pan mówi — szepnął z wysiłkiem, niemal całkiem nieprzytomny.

Deverrier poruszył się na swoim fotelu z widoczną niecierpliwością. Czyżby nędznik wbrew wszelkiej oczywistości chciał znowu zaprzeczać?

Spróbował go złamać natychmiast.

— E! żadnych udawań! Pojmujesz? — krzyknął ostro. — Zachowanie się pańskie przed chwilą było dostatecznie wymowne... Nie staraj się obecnie kłamać, bo już zapóźno!

Dozorca z wytężeniem przesunął ręką po czole, jakby chciał zeń zrzucić straszny jakiś ciężar, mózgu mu przygniatający.

— Przysięgam, że nie rozumiem, co pan mówi do mnie... Każesz mi się do czegoś przyznawać... Zdawałoby się, że mnie uważasz za zbrodniarza... Nie wiem... Tak, nie wiem, co to wszystko ma znaczyć...

Deverrier z widocznym rozdrażnieniem otworzył walizkę, wydobył z niej plik akcyi, należących do Laborda i rozłożył je na biurku.

— Wytłómacz-że mi pan, skąd się wzięły te akcje w pańskiej walizce?

Zanim którykolwiek ze świadków całej sceny zdołał go uprzedzić, już Sempuis poskoczył, chwycił walizkę i zaczął w niej aż do dna czegoś szukać, rozrzucając na boki z wściekłością i rozpaczą wszystko, co w sobie mieściła.

— Nic!... Niema ich! — krzyknął z boleścią. — Ona je wzięła!... Przeczytała!... Ona już wie!

Guillaume i agent bezpieczeństwa publicznego, ocknawszy się nareszcie z chwilowego osłupienia, przybiegli razem i ujawszy dozorcę każdy za jedno ramię, przemocą posadzili go na krzesło.

— Czyś pan oszalał? — zawołał komisarz policyi.

Pisarz sądowy, pochylony nad spisującym protokołem, drżał cały przejęty strachem.

Sędzia nie poruszył się nawet na fotelu.

— Co znaczy ta komedia? — zawołał srodze rozgniewany.

Lecz Sempuis nie odpowiedział. Ukrywając czoło w obie dłonie, zdawał się pogrążony w jakimś śnie bolesnym.

Agent potrząsnął nim silnie.

— He! przyjacielu! Czy śpisz teraz?

Mikołaj podniósł głowę, a odkryta twarz jego wyrażała razem: cierpienie i nieprzytomność.

— Co? Czego chcecie odemnie? — pytał jakby znużony, jakby zupełnie z sił wyczerpany.

— Odpowiadaj pan na moje pytania — powtórzył Deverrier. — Czy przyznajesz, że papiery wartościowe, znalezione w twojej walizce, były własnością pana Emanuela Laborda?... Czy nadto przyznajesz się do spółnictwa w zamordowaniu doktora Manescault?

Tym razem słowa sędziego wywołały oddźwięk w mózgu starego żołnierza.

Uniósł się nieco, sztywnie wyprostowany.

— Co pan mówi?... Ja mam być spółnikiem?... A! więc to dlatego jestem badany!... Proszę, chciej mi wytłómaczyć, o co chodzi?... O jakich papierach wartościowych mówisz pan przedewszystkiem?

Deverrier uderzył ręką w plik akcyi, rozłożonych przed nim na biurku.